



PIERWSZE ZAKŁĘCIE

RADOSŁAW SAMLIK

Pierwsze zaklęcie

Radosław Samlik

*Moim rodzicom, dzięki którym nasz dom był zawsze pełen książek.
Ta jest moja, dzięki Wam.*

Podziękowania.

Jak każda książka, tak i ta nie powstała by, gdyby nie grupa ludzi, która wspierała mnie, od kiedy z braku komputera zapisałem pierwsze kilka zeszytów swoimi bazgrołami.

Rodzicom, że od początku wspierali mój cel, jakim było zostanie pisarzem i za zaszczepienie mi miłości do książek.

Żonie Paulinie, że nie grymasiła, gdy po pracy siadałem z powrotem do komputera i wspierała mnie, gdy przychodził moment zniechęcenia.

Łukaszowi Klockowi, za 'pierwsze czytanie' mojego nieukształtowanego jeszcze stylu w roboczym wydaniu zeszytowym. Gdyby wtedy informacja zwrotna była kiepska, dzisiaj nie byłoby tej powieści.

Ewie Wiernik i Jarkowi Dobruchowskiemu za konstruktywną krytykę i zmuszenie mnie do rozwinięcia wątku runicznej magii do obecnej formy. Dziękuję Wam za odwagę i szczere opinie!

Wszystkim tym, którzy czytali wczesne wersje i dorzucali swoje cegiełki w postaci informacji zwrotnej!

I Tobie, że zdecydowałaś/zdecydowałeś się na zakup tej książki!

Spis treści 3

Prolog 3

1. Ucieczka. 12

2. Cotira. 75

3. Krew przodków. 164

4. Próba sił. 291

5. Białe plamy. 342

6. Bitwa w dolinie. 449

Epilog. 480

Prolog

Świtało. Przez nieszczelne żaluzje do wnętrza dużej, bogato urządzonej kawalerki na warszawskiej Pradze wlewało się szare światło nowego dnia. Patryk Bronowicki jęknął żałośnie, gdy usłyszał znienawidzony dźwięk budzika. Usiadł na łóżku i przeczesał dłońmi burzę długich dredów. Spojrzał na zegarek. Piąta rano. Powlókł się do łazienki i z westchnieniem ulżył swojemu pęcherzowi. Miał za sobą ciężką noc. Cztery dni wcześniej dał się namówić na jazdę rollercoaster'em w Kalifornii i odtąd w każdym śnie pędził w tym cholerstwem w dół Wielkiej Krokwi. Przemył twarz lodowatą wodą, założył dres, adidas, upiął dredy, zamknął starannie mieszkanie i zbiegł z dziesiątego piętra po schodach. Z ulgą opuścił koszmarne popisaną sprayem klatkę. Już dawno przestał czytać brednie wypisywane tam przez młodocianych wandalów utożsamiających się to z jednym, to z drugim warszawskim klubem i obowiązkowo nienawidzących konkurencji z Krakowa. Wyszedł w orzeźwiająco chłodne powietrze sierpniowego poranka i puścił się biegiem w kierunku parku.

Patryk Bronowicki był wysokim, nieźle zbudowanym mężczyzną pod trzydziestkę, z lekkim brzuszkiem, z którym toczył nieustanną walkę. Co rano przebiegał pięć kilometrów w pobliskim parku, a co

drugi dzień przesiadywał na siłowni, by zmarnować całotygodniowy efekt na weekendowej imprezie w jednym z warszawskich klubów. Nosił długie, ciemne dredy spięte na końcach grubymi kłamrami z grawerowanego srebra. Było go stać na taką ekstrawagancję, w końcu był najlepszym programistą polskiego oddziału Nanosoftware. Całości dopełniały zgrabne okulary z nietłukącego się szkła w tytanowej oprawie. Złamany na treningu kendo nos upodabniał do Juliusza Cezara, a błękitno—niebieskie oczy patrzyły śmiało spod długich, niemal kobiecych rzęs. Nie był specjalnie przystojny, ale kobiety ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu. Z drugiej strony łatwo zrażał do siebie ludzi, gdyż pobłogosławiony przez stwórcę pamięcią ejdetyczną, nie miał zahamowań, żeby wykorzystywać ją do wytykania nieścisłości i demaskowania kłamstw.

Po powrocie wziął prysznic i zjadł na śniadanie zimną sałatkę z kurczaka. Przez chwilę zastanawiał się, co założyć, ale rzut oka za okno na gromadzące się chmury ułatwił mu zadanie. Włożył swoje ulubione spodnie z czarnej skóry, które doprowadzały jego przełożonego do szału. Pozycja Bronowickiego jako programisty była jednak na tyle mocna, by mógł z premedytacją drażnić Janowskiego. Na koszulkę z Eddie'm, maskotką Iron Maiden, narzucił rozpinaną sportową bluzę z kapturem. Zasznurował wysokie cholewy Martens'ów i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze chwilę do wyjścia. Niemal pieszczotliwym ruchem dotknął swojego laptopa i poczuł lekki dopływ adrenaliny. Rok temu lekkomyślnie przyjął zakład, że uda mu się włamać do najbardziej strzeżonych plików w amerykańskiej centrali firmy i zostawić pozdrowienia od Johna Lennona dla Billa Gates'a. Była to największa skaza jego charakteru — nie potrafił znieść posądzenia o tchórzostwo, zwłaszcza po wypiciu kilku piw. Musiał wznieść się na wyżyny swoich umiejętności i przez długi czas znosić przyptywy adrenaliny, gdy dzwonił służbowy telefon, ale wygrany wówczas Harley—Davidson stanowił obiekt zazdrości każdego, kto choć raz spojrzął na błyszczącą chromem

maszynę. Podczas włamania natknął się na zakodowany plik pod nazwą „Pierwsze zakłęcie”. Powodowany niezdrową ciekawością skopiował go, nie zastanawiając się zbytnio nad tym, co robi. Trzy miesiące zajęło mu złamanie kodu dostępu. Plik zawierał zeskanowany obraz omszałego głazu, na powierzchni którego wyryto zestaw symboli do złudzenia przypominających skomplikowany algorytm. Opis skanu mówił jednoznacznie: Góry Skaliste, co najmniej dziesięć tysięcy lat przed naszą erą. W Patryku obudziła się uśpiona w czasie studiów żyłka archeologa. Kolejne miesiące spędził na pisaniu programu analizującego ów tajemniczy algorytm. Wyłączył wygaszacz ekranu i spojrzał na pasek postępu obliczeń: dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Po niemal pół roku analizy nastął dzień, w którym wreszcie odczyta tak pilnie strzeżoną tajemnicę firmy. Podekscytowany wrzucił laptopa do plecaka, narzucił skórzaną kurtkę i zamknął mieszkanie na klucz. Śmierdzącą moczem windą zjechał na parter i wyszedł na strzeżony parking po drugiej stronie bloku. Założył kask z przyciemnianą szybą i rozkoszując się znajomym dźwiękiem silnika pomknął do odległej o osiem kilometrów siedziby firmy.

Zaparkował motocykl na strzeżonym parkingu przed budynkiem korporacji i uśmiechnął się przyjaźnie do siwowłosego strażnika.

— Dzień dobry panie Józefie, — ukłonił się lekko. — Szykuje nam się kolejny piękny dzień.

Ku jego zdumieniu pogodny zazwyczaj mężczyzna rozejrzał się niespokojnie i szepnął:

— Nie, kiedy ONI tu są.

— Oni? — Uśmiechnął się lekko Bronowicki.

— Faceci w czerni panie Patryku! Prawdziwi faceci w czerni!

Informatyk roześmiał się mimo woli.

— Znowu naoglądał się pan HBO, panie Józefie?

— No, co też pan! — Oburzył się staruszek. — Nie pierwszy raz ich tutaj widzę! Jak ostatnio przylecieli, zniknął jeden z

programistów. Jak kamień w wodę! Milicja nie znalazła nawet śladu!

— Policja — poprawił go odruchowo Patryk.

— Milicja, policja, wsio rawno! — Machnął sękatą ręką strażnik.
— Grunt, że młody Krzysztofowicz nigdy się nie odnalazł. Powiadali, że włamał się do jakichś zakazanych plików centrali.

— A może po prostu dostał awans i przenieśli go do Doliny Krzemowej w Stanach? — Zimny dreszcz przebiegł Bronowickiemu wzdłuż kręgosłupa.

— Jak to mówi moja wnuczka: a świstak siedzi, bo świstaczka była nieletnia — zakpił staruszek. — Mów pan, co chcesz, panie Patryku, ale jak człowiek siedzi tyle lat na parkingu, to ludzie się do niego przyzwyczajają i traktują jak powietrze. Zdziwiłby się pan, co ja już tutaj słyszałem...

Młodszy mężczyzna uśmiechnął się słabo, myślami błądził wokół tajemniczego pliku. Czuł nieprzyjemne ssanie w żołądku. Nie wierzył w zbiegi okoliczności.

— Muszę lecieć do roboty, panie Józefie — machnął ręką na pożegnanie. — Janowski byłby w siódmym niebie, mogąc objechać mnie za spóźnienie.

Odwrócił się, by odejść, gdy pomarszczona dłoń zacisnęła się z zaskakującą siłą na jego przegubie.

— Niech pan będzie ostrożny — szepnął jeszcze ciszej strażnik.
— Pytali mnie, o której zazwyczaj przyjeżdża pan do pracy.

Bronowicki zamarł. Poczował, jakby ktoś wylał mu wiadro wrzątku za kołnierz. Uciec? Tym samym przyzna się do winy. Iść do biura z dowodami na twardym dysku? Podzieli zapewne los owego Krzysztofowicza, jakikolwiek by nie był. Miał nieprzyjemne wrażenie, że nie była to przyszłość, jaką ów nieznajomy programista sobie wymarzył. Wyrzucić natychmiast twardy dysk z tajemniczym plikiem? Zbyt wiele trudu kosztowało go zdobycie go, a sama myśl, że nie spojrzy nawet na wyniki analizy, napełniała go odrazą.

— Dziękuję, panie Józefie — mruknął i przyspieszył kroku.

Po raz pierwszy w ciągu trzech lat pracy nie wjechał na ósme piętro windą. Wiedział, że jest monitorowana. Błogosławiąc Wi—Fi, jeszcze na klatce zalogował się do sieci. Bez spoglądania na wyniki wydrukował analizy i skan starożytnego obiektu na laserowej drukarce. Modląc się, aby drukowanie zakończyło się bez problemu, uruchomił sprytny program, który napisał w czasach, gdy handlował w akademiku pirackim oprogramowaniem. Usuwał on wskazany katalog w sposób uniemożliwiający odzyskanie danych. Stanowił kiedyś stuprocentowe zabezpieczenie w razie nalotu policji na akademik, a obecnie był po prostu reliktem beztroskich studenckich czasów. Reliktem jakże użytecznym.

Nieco spokojniejszy wkroczył energicznie do recepcji i uśmiechnął się niemal beztrosko do uroczej blondynki za biurkiem.

— Cześć Aniu, ślicznie dzisiaj wyglądasz — rzucił, jak co dzień.

— Cześć Pa... Patryk — zająknęła się. — Jak we... weekend?

— Czytałem Cosmopolitan i chodziłem po muzeach — zażartował, ale kropla zimnego potu spłynęła mu po karku.

Wiedział, że sekretarka jąkała się, gdy była czymś mocno zdenerwowana, lub, co podszeptywało mu doświadczenie, wyjątkowo podniecona, ale tej możliwości nie brał w ogóle pod uwagę.

Nie czekał na odpowiedź. Szybkim krokiem ruszył w głąb korytarza. Fakt, że zignorowana Anna Porębska nie zdobyła się na żadną ciętą uwagę, zaniepokoił go jeszcze bardziej. W drodze do swojego biura wstąpił do pomieszczenia drukarek i zgarnął dziesięć kartek swojego wydruku. Upewnił się, że nikt go nie obserwuje i zdjął kurtkę. Na plecach pod podszewką ukryta była specjalna kieszeń, w której czasem zdarzało mu się wynieść jakieś ważne materiały, które chciał przejrzeć po godzinach. Wsunął tam wydruk i na powrót włożył kurtkę.

Wrócił na korytarz i szybkim krokiem ruszył do biura. Otworzył drzwi z napisem „mgr inż. Patryk Bronowicki, główny programista” i

stanął jak wryty. Jego biurko było wywrócone do góry nogami, wszędzie walały się płyty dvd, a przy stacjonarnych komputerach siedziało dwóch ponuro wyglądających facetów. Raczej agenci z Matrixa, a nie faceci w czerni — zdążył pomyśleć, nim zimne spojrzenie chudsze niemal przewierciło go na wylot.

— Panie Bronowicki — odezwał się tamten po angielsku. — Jestem R.J. Smith, szef Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego Nanosoftu.

— Co się tutaj dzieje? — Angielski Patryka był niewiele gorszy niż polski. — Kto kurwa pozwolił wam przewrócić moje biuro do góry nogami? Wynoście się albo wezwę ochronę!

— Jak już powiedziałem, panie Bronowicki — Smith wstał i strzepnął z czarnego garnituru wymaginowany pyłek. — Ochrona to ja. Od roku bezskutecznie staraliśmy się namierzyć hakera, który wykradł najbardziej strzeżoną tajemnicę firmy. Niemał się poddaliśmy, gdy niespodziewanie dzięki uprzejmości pana kolegi, Jana Gąsiorowskiego, dostaliśmy owo upragnione nazwisko.

— Jebany w dupę skurwysyn! — Pomyślał rozwścieczony Patryk. — Nie mógł przeboleć straty Harley'a, kutas złamany!

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — skłamał z niewinną miną.

— Panie Bronowicki — pokręcił głową z dezaprobatą Amerykanin. — Niech pan mnie zrozumie, ja nie pytam pana, czy to pan włamał się do Fortu, jak nazywamy u nas Centralę. Ja wiem, że to pan. Pańskie referencje przemawiają tym razem przeciwko panu. Jestem pewien, że jeśli przejrzę zawartość tego laptopa, który ma pan w plecaku, znajdę kilka nieznanych światu, acz niezwykle skutecznych narzędzi hackerskich.

— O cholera... — Bronowicki pobladł nieznacznie. Jego prywatne pliki były solidnie zakodowane, ale wiedział, że Nanosoft zatrudnia kilku prawdziwych geniuszy komputerowych. Tak samo dobrych, jak on. No, może prawie tak samo dobrych.

— Trafiłem? — Uśmiechnął się Smith, chociaż jego oczy pozostały zimne jak gład.

— Narzędzia hackerskie nie są zabronione przez polskie prawo, tylko ich używanie — zripostował Patryk. — A tak się składa, panie Matrix, że jesteśmy na terenie Rzeczypospolitej Polskiej!

— Och, jestem pewien, że znajdziemy tam również plik o bajkowej nazwie Pierwsze Zakłęcie — Amerykanin machnął beztrąsko ręką, ale uważnie obserwował reakcję swego rozmówcy.

Uczucie ulgi spłynęło na Bronowickiego. Jeśli tylko to na niego mają, to nie mają nic.

Smith podszedł do drzwi i starannie je zamknął.

— Dźwiękoszczelne, nieprawdaż?

— A co, zamierzasz mnie zastrzelić? — Przestraszył się nieco Patryk. W myślach szacował swoje szanse.

— Jasny gwint! — Zaśmiał się szczekliwie milczący do tej pory drugi Amerykanin. — Ci Polacy to mają skłonności do melodramatyzmu, co nie, R.J.?

Smith skinął głową.

— Nie mamy zamiaru nikogo zabijać. Proszę spocząć, mister Bronowicki.

Podsunał mu obrotowy skórzany fotel, w którym Patryk zwykle zasiadał.

— Plik, który pan wykradł, zagraża istnieniu Nanosoftware.

Bronowicki spojrzał na niego z niedowierzaniem. To zdjęcie prehistorycznej płaskorzeźby?

— Powiedzmy — kontynuował niezrażony Smith — że na całym świecie ludzie mogliby poczuć się... manipulowani, gdyby to zdjęcie wpadło w niepowołane ręce. Miliardowe odszkodowania, drastyczny spadek sprzedaży to tylko początek. W jednym ze scenariuszów doszliśmy do tego, że działalność terrorystyczna sparaliżowałaby cały świat, linie lotnicze zbankrutowałyby w kilka miesięcy a odległości

między kontynentami wróciłyby do tych z pierwszego wieku naszej ery.

— Przecież wówczas nie było możliwe przedostanie się na drugą półkulę! — Zaprotestował oszołomiony Patryk.

— Właśnie — skwitował Amerykanin. — Jeszcze inny scenariusz zakładał kolejną światową wojnę, kryzys ekonomiczny niemający równego w historii, totalną zmianę hierarchii krajów świata. Dlatego nawet nasz rząd nie ma pojęcia o tym obiekcie. Wyobraża pan sobie Katar będący światowym mocarstwem?

— O czym ty mówisz do cholery? — Krzyknął zdenerwowany Bronowicki.

— Albert Einstein nie miał racji, mówiąc, że nie wiadomo, na jaką broń rozegra się trzecia wojna światowa. Jeśli ten plik ujrzy światło dzienne, trzecia wojna światowa rozegra się na...czary!

Patryk przez chwilę patrzył na Smitha w oszołomieniu, po czym roześmiał się na całe gardło.

— No dobra, czyj to pomysł? — Zapytał, gdy doszedł trochę do siebie. — Czy to jakiś rewanż Gąsiorowskiego za to, że w sobotę sprzątnąłem mu sprzed nosa tę rudą modelkę? Przyznać się, gnojki!

Smith spojrzał znacząco na swego potężnie zbudowanego towarzysza. Potężny cios w przeponę powalił informatyka na podłogę. Zaniósł się urywanym kaszlem, rozpaczliwie starając się odzyskać oddech.

— Ja was...

— Zamknij się i słuchaj! — Szczeknął Smith. — Wierzysz w to czy nie, magia istnieje i działa bez zarzutu. W kodzie każdego systemu operacyjnego Doors wplecione są symbole mocy, które zachęcają klientów do kupna tego szajsu. Czy myślisz, głupi palancie, że Doors sprzedawałby się tak dobrze z tymi wszystkimi błędami, które zawiera? Service pack'i? Nic innego, jak poprawione zaklęcia stabilizujące. Jak sądzisz, skąd wzięły się te wszystkie algorytmy? Przyjrzyj się temu zdjęciu, którego podobno nie masz. Taki bystrzak

jak ty na pewno dostrzeże podobieństwa. Przez te wszystkie lata nie zdołaliśmy rozgryźć znaczenia wszystkich symboli, robimy postępy bardzo wolno. I zapewne to nie wszystkie, jakie istnieją. Najdziwniejsze jest to, że na całym świecie, mimo wydanych milionów dolarów, nie znaleźliśmy podobnego artefaktu.

— Przecież wszyscy używają algorytmów... Ich elementy są ustandaryzowane... — wychrypiał Patryk.

— Powiedziałem zamknij się i słuchaj. Oczywiście nie wszystkie runy zostały ujawnione, wiedzieliśmy, że te psychole od open source'u z całą pewnością będą używać algorytmów. Więc runy mocy, jak je nazwaliśmy, pozostały utajnione i zahardkodowane w źródłach Doorsów. A myślisz, że niby, dlaczego są tak strzeżone?

Bronowicki milczał. To, co usłyszał, kłóciło się z jego ścisłym umysłem, ale jakaś jego cząstka desperacko pragnęła uwierzyć w rewelacje Amerykanina.

— Większość wtajemniczonych członków korporacji głosowała za tym, aby dołączył pan do kolegi Krzysztofowicza, który bada odporność naszego oprogramowania na mrozy Alaski — Smith zaśmiał się nieprzyjemnie, ale zaraz spoważniał. — Na pana szczęście sam boss zainteresował się sprawą i zdecydował, że taki tęgi umysł znajdzie zajęcie przy analizowaniu pozostałych run.

— A jeśli odmówię? — Spytał Bronowicki.

— Krzysztofowicz na pewno ucieszy się z towarzystwa — zauważył Amerykanin. — Z samotności ludzie często wariują... i zmieniają orientację.

— Grozicie mi? — Patryk poczerwieniał z wściekłości. — W moim własnym kraju? A niby jak chcecie mnie stąd wywieźć, palanty?

— A niby jak wwoziliśmy terrorystów do tajnych więzień na Mazurach, palancie? — Uśmiechnął się zimno Smith. — W obu przypadkach komisje śledcze nie znajdują śladów.

Ciszę, która zapadła, niespodziewanie przerwał przeraźliwy pisk panny Porębskiej i gardłowe krzyki w języku, którego nie znał nawet

Bronowicki. Za to najwyraźniej znał Smith, który pobladł gwałtownie.

— Fuck! — Mruknął, wyjmując dwa potężne magnum z kabur pachami. — Steve, pilnuj ptaszka, żeby nie wyfrunął. Mamy gości. Coś mi się wydaje, że ten sukinsyn sprzedał informacje o Bronowickim nie tylko nam! Stań przed drzwiami i zastrzel każdego, kto będzie próbował tutaj wejść. Nikt nie ma prawa z nim rozmawiać!

— Co się dzieje? — Zapytał przestraszony Bronowicki.

— Zamknij się i módl, żeby nie było ich zbyt wielu.

— Kogo, do jasnej cholery?

— Ludzi Al Kaidy!

Obaj Amerykanie wypadli na korytarz z bronią w rękę. Niemal natychmiast rozległa się kanonada.

Szyba w drzwiach rozprysła się pod kulami, które zaświstały Patrykowi nad głową. Krzyki przerażonych mężczyzn przeplatały się z angielskimi przekleństwami i zawożeniem kobiet. Imiona Allacha i Boga mieszały się z hukiem wystrzałów i świdrującym uszy piskiem panny Porębskiej.

Z szaleńczo walącym sercem Patryk przeczołgał się za przewrócone biurko. Miał nadzieję, że wyładowany grubymi książkami mebel zatrzyma kule, które latały wokół z brzęczeniem rozwścieczonego roju. Przypomniał sobie o składanym nożu Gerbera, który trzymał w szufladzie. Marna obrona przed uzbrojonym w pistolet napastnikiem, ale miał nadzieję, że terroryści chcą dostać go żywcem. Otworzył niewielkie ostrze i zablokował rękojeść.

— Tyle zachodu jedno zdjęcie? — Pomyślał rozpaczliwie. — O co tutaj chodzi?

Wystrzelona z niepokojąco małej odległości seria kul z trzaskiem uderzyła w plecak z laptopem. Trysnęły iskry, smużka dymu uniosła się w powietrze. Bronowicki wahał się przez ułamek sekundy. Przynajmniej dowiem się, dlaczego zginąłem! — Pomyślał hardo. Zdarł z siebie kurtkę i wyciągnął pognieciony plik zadrukowanych

kartek. Kuląc się za biurkiem z rosnącym niedowierzaniem przeglądał wyniki analiz.

Smith miał rację. Wyglądało na to, że widoczne na zdjęciu symbole rzeczywiście miały inne znaczenie, niż początkowo zakładał Bronowicki.

Napiął gwałtownie wszystkie mięśnie, gdy biurko zadrżało pod ciosami kul. Miał coraz mniej czasu. Tępy odgłos uderzenia i głuche sapnięcie dużego Steve'a uświadomiły mu, że od śmierci dzieli go już tylko dwa magnum Smith'a. Przejrzał pobieżnie wyniki analiz pod kątem symboli masońskich, hieroglifów egipskich, symboli Azteków i Majów. Na koniec przeczytał uważnie wydrukowany w powiększeniu skan, wodząc ostrzem noża po papierze. Większość runów nic mu nie mówiła, ale w jednym miejscu aż wciągnął powietrze ze zdumienia. Nie mógł się mylić. Czymkolwiek był ten starożytny program, kończył się nieskończoną pętlą.

Nagle uświadomił sobie, że magnum ucichło.

—Oh dear Lord, save me...— Usłyszał jęk Smitha.

— Insz Allah! — Rozległ się pojedynczy strzał.

Ręka Bronowickiego trzymająca nóż drgnęła gwałtownie, rozcinając wydruk dokładnie w miejscu, gdzie rysowała się owa nieskończona pętla.

Powietrze pociemniało gwałtownie. Nieistniejący wiatr rozwiązał włosy mężczyzny. Z rozciętego papieru wylewało się coś, co konsystencją przypominało rtęć. Nie, nie wylewało, wydostawało się! W kilka sekund przed Patrykiem utworzyło się połyskliwe lustro wielkością i kształtem przypominające drzwi. Powierzchnia falowała lekko, wypełniając powietrze elektrycznością.

Na korytarzu rozległy się kroki, zazgrzytało potłuczone szkło. Nie chcę tego zrobić — pomyślał rozpaczliwie Bronowicki. — Nie chuja tam nie wskoczę! Wyląduję w środku dupy w najlepszym przypadku! Kto wie, gdzie to prowadzi? Pewnie zostanę po prostu rozbity na

atomy. Po co ja czytałem te wszystkie książki science—fiction? Ja pierdolę!

Nie czekał, aż za lufą pistoletu, która wsunęła się do biura, pojawi się jej właściciel. Chwycił mocno kurtkę, plik wydruków i skoczył prosto w falujące wrota.

Zamaskowany mężczyzna, który ostrożnie wszedł do zrujnowanego pomieszczenia, rozejrzał się uważnie wokoło. Nie zauważył niczego podejrzanego. Skąd więc dobiegł go ten dziwny dźwięk, jakby w zlewie pełnym wody wyciągnięto korek? Nie widział nigdzie kranu, a co gorsza, nie widział też programisty, którego spodziewał się znaleźć w środku. Sprawnie przeszukał biuro. Skrzywił się, gdy znalazł wciąż płonący laptop. Po Bronowickim ani śladu. Zazgrzytał zębami. Za tę informację Al Kaida zapłaciła sporą sumę w angielskich funtach, a w zamian nie dostała niczego, oprócz śmierci trzech oddanych bojowników, którzy leżeli na korytarzu za drzwiami. Allah jest sprawiedliwy, a Karim ibn Hassan ibn Yussuff jest jego karzącą ręką. Zdrajca otrzyma to, na co zasłużył. Usłyszał narastający dźwięk policyjnych syren. Pospiesznie wybiegł przez drzwi.

